

# Forma

Jest tu dosyć ciasno i niewygodnie.

Próbuję znaleźć odpowiednie miejsce, ustawić się sensownie, żeby wreszcie poczuć się jak pasujący trybik w zegarze. Z trudem przesuwam wymęczone, posiniaczone nogi i powykęcane ręce po chropowatych ścianach więzienia w kształcie sześcianu. Jednak, mimo licznych prób, zgrzytania zębów, posapywań i cichych przekleństw, ta Forma nie jest dla mnie. Uspokajam się, zwalniam, pogłębiam oddech, zamykam oczy, wsłuchuję się w ciszę i myślę. Wyobrażam sobie, że mam idealną dla siebie Formę, która nie będzie mnie ograniczać ani przeszkadzać w żaden sposób. To Forma utkana specjalnie dla mnie...

Szszsz skrob skrob, szsz, grh.

Z zamyślenia wybudzają mnie dziwne dźwięki: szelesty, pomrukiwania i chrypięcia. Z zaciekawieniem przykładam ucho do prawej ściany Formy.

Ah, tak! Zupełnie zapomniałam o moim drogim sąsiedzie. Za ścianą mieszka szanowny pan Gombrowicz i mamrocze fragmenty swoich utworów.

Wyteżam słuch, żeby wychwycić słowa.

- Nie zachwyca, nikogo nie zachwyca. Mnie nie zachwyca... - wyłapałam coś z jego paplaniny.

Stary biedaczek Gombrowicz cytuje własne utwory. Zdążył już zwariować od wiecznej ucieczki przed Formą, w której nieustannie siedzi, bez możliwości wyjścia.

"Nie zachwyca, nie zachwyca". Więc dzisiaj zdecydował się zostać Gałkiewiczem? Ciekawe, o którym romantyku teraz rozprawia z Bładaczką...

Z chęcią dowiedzenia się, przesuwam ciało lekko w prawo, próbuję wyprostować nogi, usiąść wygodniej przy prawej ścianie. Bez skutku, niestety.

Dosyć tego, myślę z poddenerwowaniem, wychodzę.

- Do widzenia, panie Gombrowicz, niech będzie pan zdrow - szepczę do prawej ściany, pewnie zakłócając mu tok dialogu. Nie odpowiedział, dalej mamrocze bez celu, bez sensu.

Nie mam zamiaru zwariować jak pan Gombrowicz. Wyjdę na zewnątrz, poszukam formy dla siebie. On już jest stary, zbyt posiwiwały i słaby; nie da rady poszukiwać ani chwili więcej.

Mimo to, widzę, że wciąż się nie poddał, mimo oczywistego faktu starości.

Zrezygnowana, z całej siły kopnęłam w przód sześcianu. Otworzył się, a właściwie odpadła mu ściana i poleciała w dół, w czarną nicość. Nadstawiam uszy, żeby usłyszeć, jak rozbija się o dno. Cisza, nie słyszę upadku. Jedyne mamroty Gombrowicza świszczą mi w uszach.

Towarzyszą mi te szelesty piekielne, gdy zbieram się do skoku nad przepaścią. Odpycham się mocno nogami i skaczę na przeciwległą platformę. Idealnie wylądowałam na jej kruchym skraju. Do przodu, do przodu, szybko! Zaraz spadnę!

Fragmenty platformy usypują się i torują sobie drogę przez czarny korytarz na samo dno. Podążają za ścianą mojej byłej Formy jak za autorytetem rzeczy nieożywionych.

Jeszcze przez chwilę patrzę za nimi, niby łza stoczyła się po moim policzku, jakbym tęskniła za gruzem i kwadratem.

Nagle czuję na sobie przejmujący chłód, to pędzi wiatr północny. Jest mi tak zimno, że aż się trzęsę, szcękam zębami i rozcieram skostniałe ręce. Moja skóra upodobniła się do szarego, cienkiego papieru, pokryła się bruzdami, zmarszczkami starości czy przejrzałości znanej kartkom.

- Co się dzieje? - szepczę sama do siebie, wystawiam się na zwariowanie. To wariactwo, obłąd, szaleństwo.

Potrzebuję Formy, Formy potrzebuję.

Inaczej zginę niechybnie na tej platformie, stoczę się w dół jak gruzy i ściany.

Zapieram się mocno, próbuję nie dać się zdmuchnąć potędze wiatru. Zakrywam oczy wyschniętą dłonią, przesuwam ciężkie jak ołów stopy po platformie. Do przodu, do przodu.

W oddali widzę miasteczko, małą miejscinkę, otoczoną mgłą wieczorną. Mam wrażenie, że wiatr północny tam nie sięga. Omija starannie to miejsce, żeby pędzić dalej.

W miasteczku widzę moją szansę, osłonę, ochronę, bezpieczeństwo. Z podwojonymi nadzieją siłami docieram do bram, które, zauważywszy przechodnia, otwały się lekko. Wsunęłam się szybko w szczelinę, zrobioną jak dla mnie, bo moich wymiarów. Dusza na chwilę uspokaja się przyjęciem Formy, ale zaraz znowu jestem wolna. Czuję się naga, bez życia.

Potrzebuję Formy, Formy potrzebuję. Na Boga!

Moich pojękiwań, żalonych narzekań nikt nie słyszy. Miasteczko zdaje się być wyludnione. Nikogo nie widać, nikogo nie słyhać. Tylko wiatr północny hula za moimi plecami.

Wzruszam ramionami z bezsilności, wzdycham, po czym ruszam naprzód szeroką, brukowaną kocimi łbami ulicą.

Wygląda dziwnie znajomo, nieco jak Warszawa, ale stara, bardzo stara. Wzdłuż mojej drogi stoją potężne kamienice, piętrzą się ku niebu zamasytymi, strzelistymi gmachami. Czasem są przyozdobione; zdarzają się filary, płaskorzeźby z antycznymi motywami, gdzieś wije się winorośl z kamienia lub z suchych badyli, które przypominają mi o nadchodzącej zimie. Różnią się od siebie te kamienice właśnie takimi małymi ozdóbkami, lekkimi zmianami, delikatnymi, kruchymi, ulotnymi. Mimo wszystko są to DOKŁADNIE te same kamienice, projektowane i stawiane przez TYCH SAMYCH architektów i murarzy. Pójdę o krok dalej: CI SAMI ludzie w nich mieszkają.

- To tylko Forma - rzucam w przestrzeń od niechcenia - Lekko zmieniona z wyglądu, ale ta sama Forma. Nie uciekniecie od Formy, drobnomieszczanie. Ani wy ani wasze kamienice.

Po wyrażeniu siebie, wyrzuceniu z duszy kałuży krwi gruźlicy szaleństwa, skręcam z głównej ulicy w przyboczną.

Dostrzegam wreszcie sklep galanteryjny, otwarty, nawet ktoś kotłuje się w środku. Wejść, zajrzeć, zobaczyć, może czegoś się dowiem o bezludności tego dziwnego miasteczka.

Pcham ciężkie drzwi, a moje wejście anonsuje mały, miedziany dzwoneczek u góry framugi. Na usta przywołuję dzień dobry, podchodzę jak gdyby nigdy nic do podstarzałego z lekka subiekta.

- Witam, panienkę - ukłonił się nisko - Czym mogę panienkę dziś zainteresować?

Na pytanie oczywiste, lekko skołowana, przebiegam wzrokiem po półkach.

Dziwne, bo nie ma tu nic prócz forem rozmaitych kształtów. Dostrzegam stożek ukryty za prostopadłościanem, dwa sześciiany z trzecim na wierzchu, kule otoczone przez ostrosłupy o

wielorakich podstawach i parę walców, ustawionych w rzędzie jak podczas musztry wojskowej.

- To sklep galanteryjny? - pytam niegrzecznie. Wszak widziałam szyld.

- Zgadza się - odpowiada staruszek z wykwitniętym na szarej twarzy szczerym uśmiechem. Sprawia wrażenie, że pytanie to często jest mu zadawane.

Postanawiam dążyć dalej.

- Tu są tylko Formy, proszę pana...

- Naturalnie, panienko, ale rozmaite Formy! Każdą Formę mamy w zanadru, każdą możemy stworzyć na zamówienie bezpośrednie czy pośrednie. To wykwitne Formy, droga panienko, pan Stanisław sprowadza je aż z Turcji!

Pozwalam subiektowi dokończyć wychwalanie forem i opowieść o ich tureckich korzeniach. Unosi ręce, oczy wznosi do góry, mówi o rzeczach przyziemnych, a zachowuje się jak uduchowiony romantyk! Zaczynam z lekka tupać znudzoną nogą, popatrywać po bokach, okazywać znużenie coraz wyraźniej. Subiekt? Nic, a nic sobie z tego nie robi. Indywidualista, zatopiony w poezji nadniebnej, w geniuszu własnych słów, w kwiecistości języka.

Bierze ostatni wdech i kończy wywód.

Niezręczną ciszę znaczy wydechane przez niego powietrze. Owiewa mnie podmuch romantyzmu, słodkość zapachu nocnych traw i melodyjny śpiew ptaków.

- Więc co mogę panience podać?

Milczę przez chwilę, nie wiedząc co odpowiedzieć. Potrzebuję Formy, ale żadna z tych nie widzi mi się jako idealna. Nie ma tu Formy w moim kształcie. Mimowolnie przekierowuję zrozpaczony wzrok na inną część sklepu, gdzie młodszy subiekt stoi przed półkami z kształtami rozmytymi, kanciastymi, dziwnymi, ząbkowanymi i falistymi.

Starszy subiekt podchwycił mój wzrok.

- Interesują panienkę Formy bardziej ekstrawaganckie? - spytał z nutką nadziei w głosie. Z pewnością sam posiadał podobną w swojej duszy.

- Zastanawiam się... czym właściwie się różnią, jeśli chodzi o wygodę?

Subiekt wyprostował się i złożył ręce przed sobą jak do modlitwy. Zaczął z rozmarzeniem:

- Formy jak każde inne, ale pozwalają na większą swobodę ducha i umysłu. Przeznaczone są specjalnie dla artystów, lekkoduchów i uwznioślonych literatów. Dają wrażenie ucieczki od formy i spieszenia ku wiecznej wolności, czystej oryginalności i braku zobowiązań. Mimo wszystko, to nadal jedynie iluzja. Forma jest Formą.

Zakończył ze smutkiem, zwieszając głowę.

- W takim razie - przerwałam aurę starczego smutku - poproszę dwie Formy o nadzwyczajnym kształcie. Jedna dla mnie, druga dla mojego sąsiada, pana Gombrowicza. Posiwały mężczyzna wyraźnie podskoczył z radości, a przynajmniej próbował oderwać starcze, zmęczone ciało od ziemi.

- Już podaję, droga panienko.

Odgonił ruchem ręki młodszego subiekta, po czym zwinnie wlaź na drabinę, ściągnął dwie Formy o kształtach podobnych gwiazdom na nocnym, pochmurnym niebie. Były lekko rozmyte i kanciaste z ostrymi czubeczkami, które pobłyskiwały niebezpiecznie w świetle lampy u sufitu.

- Proszę bardzo, panienko, oto towar najwyższej jakości. Z pewnością się panience spodobają. A właśnie! Proszę przekazać najserdeczniejsze pozdrowienia panu Gombrowiczowi od Ignacego.

Cały się rozpromienił po wypowiedzeniu własnego imienia tuż koło pana Gombrowicza. Nie wiedziałam, że jest popularny także w tym dziwnym miasteczku. Był osobowością, nie pozostawia żadnej wątpliwości, ale to miejsce było jak wyjęte z innej rzeczywistości, której bym nigdy nie połączyła z panem Gombrowiczem.

Jak te dwa światy mogły się ze sobą znać?

- Oczywiście pozdrowię - wymusiłam uprzejmy uśmiech, płacąc subiekтови Ignacemu trzydzieści złotych w starym pogniecionym banknocie, który mi go przypominał. Stary, zużyty, pomarszczony, ale przecież coś wart, prawda?

Naszła mnie nagle nieodparta chęć wypytania subiekta o wiele rzeczy, których nie mogłam pojąć. Związanych nie tylko z niepokojącym miasteczkiem, ale z Samą Formą. Nie wiedzieć czemu, zobaczyłam w tym leciwym mężczyźnie przeblask intelektu, którego iskra mogłaby zapalić mój pomysłupek.

- Panie Ignacy - zwróciłam się do subiekta po imieniu, licząc na trafienie w jego przyjacielską duszę - Proszę mi powiedzieć o tej miejscince, jestem tu przejazdem i nie do końca orientuję się w zawilóściach tutejszych uliczek...

Subiekt zamrugał parę razy oczami i rozciągnął popękane usta w uśmiechu.

- Ah, rozumiem! Stąd pani zakłopotanie przy Formach. Ha, ha! Chętnie panience pomogę, omówię, co trzeba. Przyjaciółka pana Gombrowicza jest moją przyjaciółką!

Patrzyłam na tę jego dziecięcą radość, na wesoły uśmiech, na radosne, przejrzyste oczy, których nie skalał wiek. Przeżywał właśnie mistyczne spotkanie, ja byłam pośredniczką między nim a bogiem Gombrowiczem. Prawdziwie wspaniałe doświadczenie. Prawie jakby pan Gombrowicz tu był, przemawiał przeze mnie, raczył subiekta Ignacego mądrościami o świecie. Jednak siedział zamknięty w formie w kształcie sześcianu, oszalały z porażki w ucieczce przed nią, zwariowany w samotności, zagubiony w liniijkach własnych utworów. Prawdziwie to smutny fakt.

- Może panienkę zainteresuje ulica Krokodyli, jest tuż za rogiem - mówił subiekt wskazując ręką w odpowiednim kierunku - Pomyślałam, że panienka może się tam odnajdzie. Większość osób, która kupiła u nas formy nadzwyczajne zazwyczaj tam się udaje. Podobno to miejsce raczej niesamowite i nietuzinkowe. Podobno forma tam słabnie - dodał szeptem, biegając oczkami po rogach sklepu jakby upewniał się, że nikt nie podsłuchuje.

- Nigdy pan tam nie był? - dopytałam szeptem, w narzuconym stylu.

- Skąd, jakże by... - zająknął się - To nie miejsce dla takich starców jak ja.

Uciał prędko i udał zainteresowanie klientami, którzy oglądali właśnie walce.

- Tyle pracy, tyle pracy! Do widzenia, panienko - pożegnał się naprędce, doskoczył do państwa i zaczął coś gadać o Turcji, Formach i nietuzinkowości.

Z poczuciem porzucenia, opuściłam opieszale sklep galanteryjny, w którym były tylko formy zwyczajne i nadzwyczajne.

Na zewnątrz przywitała mnie niezaprzeczalna cisza ulicy, niepokojący wygląd kamienic i poczucie oczywistej samotności.

Okryłam się mocniej płaszczem, potupałam przez chwilę nogami, pokręciłam w kółko. Byłam sama na chłodzie, mrozie, lecz przynajmniej nie w deszczu. W sklepie galanteryjnym

było o niebo lepiej niż na tej przeklętej ulicy. Tam czułam ciepło, bijące od Form. One dawały mi życie, niezbywalne prawo do egzystencji szczęśliwej czy nieszczęśliwej. A teraz czułam się jakbym na powrót stała nad przepaścią, na usypującej się platformie. Zaraz mogę spaść w otchłań, krzyknąć z przerażenia w czasie śmiertelnego lotu, uderzyć w ziemię powykrecanym ciałem, jeśli dno tam takowe jest. Wzdrygnęłam się ze strachu i obrzydzenia. Natychmiast wyrzuciłam z umysłu czarną myśl o rychłej śmierci.

Potrzebuję Formy, Formy potrzebuję. Na Boga!

Olśniło mnie, mnie głupią, opętaną; przestałam wyciągać ręce ku brunatnemu niebu i szlochać na podobieństwo chorego na romantyzm subiekta.

Sięgnęłam zziębniętą dłonią do papierowej torebki, skąd mrugały do mnie bladym błyskiem Formy nadzwyczajne. Z drobnym przestraczem, ujęłam jedną z nich i przyłożyłam do serca. Miałam wrażenie, że zaczęło szybciej bić, rozsyłać po całym organizmie wici ze szczęśliwą nowiną: Radujmy się! Forma powróciła najdroższa! Alleluja!

Moje ciało powoli ocieplało się w miarę rozchodzenia wiadomości. Przyjmowało dawną, zdrową barwę, odżywało, wychodziło z grobu starości w odpowiednią mi młodość. Bez przesady mogę powiedzieć, że odradzam ducha.

Z nowo nabytą siłą młodzieńczej werwy ruszyłam różnym krokiem w kierunku ulicy Krokodylowej, którą z pewnym zawahaniem polecił mi subiekt Ignacy.

Nie domyślałam się czemu właściwie był jednocześnie zafascynowany i przerażony „nietuzinkowym” miejscem, wylęgarnią artystów, lekkoduchów oraz poetów. Ulica Krokodylowa musi być z pewnością miejscem magicznym, owianym nurtującą tajemnicą, przykrytym mgiełką zdumienia. Dlaczego więc romantyk taki jak Ignacy nie chce odwiedzić miejsca, które bije sercem uwznioślonym?

Z niepokojącym pytaniem w głowie, z dumą młodzieńczą w nogach, maszerowałam po kocich łbach, starannie omijałam szczeliny między gładkimi, wypukłymi kamieniami. Czy uciekałam przed linearną rzeczywistością w wyobrażenie prostej, pięknej drogi przez istic królewską stolicę? Bardzo możliwe, że to poczucie spowodowane było szybkim działaniem nadzwyczajnej Formy, która zdała się zadomowić w moim sercu. Była adorowana przez tkanki, włoski na skórze, pozostałe po wczesnej starości kamienie nerkowe, wyobrażone komórki rakowe i dwa znudzone płuca.

Szczęśliwa, z długo oczekiwaną formą w sercu, wkroczyłam w ulicę Krokodylową. Cisza, charakterystyczna dla reszty miasta zaczęła ustępować szeptom, gwarom, skrzekom, zawołaniom, wrzaskom.

W miarę stawiania kroków, dźwięki zmieniały się w migoczące, załamujące się cienie, a potem w postacie kształtne, ludzkie, prawdziwe.

W ciemnych, wąskich na pięć zaułkach, dostrzegałam figury obściskujących się namiętnie kochanków, przy rozjarzonych latarniach widziałam wyzywająco ubrane kurtyzany o pięknych rysach, ale twarzach zawsze skażonych jedną wadą.

Były to nierówne, zbyt krzaczaste brwi, pieprzyki przy uchu, zadrapania na policzkach czy leniwe powieki. Nie miałam czasu się im dokładniej przyglądać, szukałam wszak artystów i lekkoduchów, o których mówił mi stary subiekt. Czego u nich szukałam, nie byłam pewna, ale ku nim ciągnęła mnie nieodparta chęć poznania sposobu na ucieczkę przed Formą. Mogłabym się nim podzielić z szanownym panem Gombrowiczem.

Pomyśleć, że oboje moglibyśmy być wreszcie wolni...

A propos. Obecność owych dam oferujących miłość za pieniądze podpowiadała mi, że zmierzam w dobrym kierunku, żeby odszukać prawdę. Zatem szłam ciągle różnym krokiem, choć już mniej spokojnym. Z narastającym strachem przelatywałam wzrokiem po brudnych witrynach sklepów i magazynów. Czułam jakby oplatał mnie nawarstwiający się brud, cienkie pajęczyny i drobny kurz, zmykające z tandetnie wykonanych fasad kamienic. Wiły wokół moich kończyn pozornie delikatne pęta, które w rzeczywistości były silne jak stal, nierozzerwalne w mocnym splocie. W dusznym powietrzu, którym przyszło mi oddychać, czuć się dało irytujący, wyrazisty zapach przetrawionego alkoholu, wszechobecny dym ulatujący z słabej jakości papierosów i nabrzmiąle kwietnymi aromatami perfumy kurtyzan. Te wonie zmieszane ze sobą były dla mojego nosa śmiertelną trucizną. Zaczęłam się krztusić i kaszleć. Przestałam na złapanie oddechu, na daremne poszukiwanie łyku czystego tlenu, ale zamiast tego potknęłam się niezdarnie o nierówny krawężnik. Z hukiem upadłam na twarz tuż przy witrynie sklepu, okrutnie poturbowana.

W głowie huczały mi dźwięki, pędziły jak nowoczesne maszyny po gładkich, blaszanych torach. Ich ruch niczym mignięcia, lecz niosące za sobą ogon gwiazdy tłumny w krzyki, nawoływania, szepty, sarkania, paplaninę bezładną, wrzaski, śmiechy, chichoty, płacze, jęki, żale. To wszystko naraz wparowało do mojej głowy, szybciej biegło, deptało neurony, straszło je aż iskry szły, spięcia, blaski, flary. Przed oczami migają mi fragmenty tej plątaniny, zbiegowiska nieproszonego, manifestacji, protestu. Coraz większe zmieszanie, rozmycie figur, trawienie dźwięków. Wysuwają się mi spod palców, spływają na sam dół pięciolinii, z klucza wiolinowego na basowy, na sam dół strony. Wypływają poza utwór, niki akompaniament, krzyk kompozytora i suchy trzask wrywanych włosów.

Pustka, biel, światło albo ciemność.

Nie rozpoznaję już kolorów, oto wieczny daltonizm.

Cisza.

I melodia mgieł nocnych, wolno unosząca się ku sklepieniu niebieskim, zgaszonym ciemną nocą, rozświetlonym milionem złocistych gwiazd, pełzającymi światłami dusz.

- Proszę się obudzić, panienko. Niech panienka otworzy oczy.

I głos miły, przyjemny, głęboki. Zimujący przy dolinie, spędzający lato na szczytach. Łagodny jak zachęta, szeleszczący jak jesienne liście.

Otworzyłam powolnie oczy, odpędzając wieczny daltonizm, ciszę i rozmycie.

Przedemną rozbiegany wzrok, zamocowany w bladej jak trupia kość twarzy i usta zrolowane w smutną kreskę. To głowa porośnięta z góry kłakami brązowych włosów, należąca do mężczyzny, na oko, w średnim wieku.

Natychmiast pomógł mi podnieść się z ziemi, a ja otrzepałam się z pyłu ulicznego jak pies wytrząsający pchły z sierści.

- Dziękuję panu bardzo - powiedziałam powolnie, lekko niewyraźnie, jeszcze wybudzając się z szalonej nieświadomości otoczenia. Co to za miejsce, ta ulica Krokodyli, że nawet używki niespożywane uderzają do głowy?

- Nie ma sprawy, naturalnie - odpowiedział z lekkim uśmiechem - Tylko... niestety - urwał - ktoś ukradł pani torebkę. Goniłem go nawet przez dwie przecznice, ale zaraz zgubiłem złodzieja, potem nawet siebie. To miasto to prawdziwy labirynt, naprawdę... Bardzo mi przykro, panienko.

Mina mi zrzędała po jego słowach, uszy, gdyby mogły, zwiesiłyby się, a może nawet odpadły i rozkruszyły na brudnych kocich łbach. W torbie, bezpowrotnie straconej, leżała przecież Forma nadzwyczajna dla pana Gombrowicza.

Niech będzie przeklęta ta Ulica Krokodyli. Dezerterzy moralni zamieszkują to miejsce, nie artyści, uwzniośleni twórcy. To wylęgarnia szemranych środowisk, oszustów i kłamców wątpliwych w morale.

- Pamięta pan jak wyglądał? Policja mogłaby spróbować go odszukać po wysłuchaniu pańskich zeznań. Takim ludziom należy się sprawiedliwy proces!

- Proces? - zająknął się mężczyzna i poprawił nerwowo kołnierzyk koszuli.

Nagle na jego bladą twarz wpłynęło zrozumienie, tknięcie uświadomienia, oświecenie. Drgnęły mu smutne wargi, gałki oczne zatoczyły koło.

- M-muszę już iść - szepnął, właściwie wychrypiał. Starzał się na moich oczach, czy to złudzenie? Może stracił Formę?

- Mam pro... spro-tkanie mam, tak, spotkanie bardzo ważne, bardzo istotne. W banku! Muszę się spieszyć, do widzenia paniencie.

Zanim zdążyłam otworzyć usta, zatrzymać tę delikatną machinę, której ruch wyzwalało najmniejsze tchnienie wiatru, było już za późno. Przestraszony mężczyzna pognął dalej nierównym brukiem, utykając co chwilę z nogi na nogę, zatapiając czubek lakierowanego buta w fugę między kocimi łbami. Pędził na łeb na szyję, depcząc po drodze skrawki niemoralnych gazet, nie zwracając uwagi na mrugające kurtyzany, nie patrząc na szare szyby podejrzanych sklepów. Biegł naprzód, nie oglądał się za siebie. Wariat.

Był już daleko, a jednak wydawało mi się, że słyszę powtarzane przez niego zdanie: "Przeklęta Praga".

- A niech idzie - mruknęłam do siebie - Niech ucieka, dziwak. Zareagował na słowo 'proces' jakby ktoś przypalał go rozżarzoną żelazką.

Być może to on beczelnie ukradł torebkę z formą nadzwyczajną dla pana Gombrowicza, a historia ze złodziejem była oczywistą, zmyśloną na poczekaniu bajeczką. Ależ nie, skąd, bzdura, to nie mógł być on. Nie widziałam torby w jego rękach ani w kieszeniach czarnej marynarki, a przecież z pewnością bym ją zauważyła. Gdyby jednak zdążył przelać Formę do serca, tym samym ukryć ją przed wzrokiem ludzkim, nie zachowywałby się jak przestraszone zwierzę w sidłach kłusownika, który zdaje się wcale nie przebywać w tym lesie rusztowań, zwanym miastem.

Bzdura na bzdurze. Zakłamanie, fałsz i dociekanie, dorabianie prawdy pod swoją wersję wydarzeń, manipulacja faktami i zasugerowanie. Bzdura!

Ten człowiek "praski" nie jest niczemu winny, a jeśli nawet jest, to nie wiadomo, czemu i komu. W każdym razie to nie moja rzecz, pomyślałam trzeźwo, odprowadzając wzrokiem znikającą za horyzontem sylwetkę. Westchnęłam ciężko na ten widok, uniosłam wzrok ku brunatnemu niebu i ostentacyjnie wypuściłam z ust chmurkę szaro-białej pary. Uniosła się lekko, poszybowała wąskim torem w ciemność wieczoru, po czym znikła, rozplynęła się przez gorąco na korzyść mrozu.

Wtedy dostrzegłam coś niecodziennego. Z czubka jednej z zaniedbanych, pozornie nowoczesnych, a bardziej kiczowatych kamienic wyrastały kręcone schody, sięgające ponad kłębowiska zacernionych nocą chmur.

Zafascynowana, podeszłam do kamienicy i chciwie przylepiłam palce do lepkiej narośli brudu zmieszanego z kurzem. Chwyciłam za zmurszałą, drewnianą konstrukcję, po której zwykł piąć się winny bluszcz-cienka siatka wymarzłych patyków; odbiłam się prawą nogą od nierównego bruku i zaczęłam wspinać na dach. Kierowała mną nadludzka siła, uśpione pokłady adrenaliny zostały mi natychmiastowo zaszczipione srebrną, ostrą strzykawką. Parłam nieugięcie do góry, czując na oczach zasłonę szaleństwa, potęgi i wściekłości. Jedyne cel to dostać się na szczyt, wbiec po metalowych, iskrzących w blasku księżyca schodach i odkryć, co kryje się nad chmurami, tą zaporą, blokadą, tamą, chroniącą ludzi przed wieczną wiedzą. Nic się poza tym nie liczy, nic nie ma żadnego znaczenia, którekolwiek działanie, którekolwiek sytuacja. Bezsens, absolutny bezsens!

Chwyciłam dłońmi mokrą od wieczornej mżawki poręcz i, nie bacząc na śliskie stopnie, pognałam jak na skrzydłach do góry. W mojej głowie rozpętał się wir, kręcący się szaleńczo zgodnie z łukami pokonywanych schodów. Przez to przed oczyma migały mi wąskie przejścia Ulicy Krokodylej, oddalające się szyldy podejrzanych sklepów, zmniejszające się z każdą chwilą postacie kurtyzan. Miasto z góry wyglądało jak zbudowane z fotografii wyciętych z gazet. Było szare, mdłe i jednowymiarowe.

Całą tę małość, przyziemność, pretensjonalność zostawiam za sobą; wkraczam ponad chmury, dumnie stając przed majestatem Boga, by z krwawym uśmiechem na popękanych ustach zrzucić go z piedestału.

- Widzisz, żem pierwsza z ludzi i aniołów tłumu! - zagrzmiałam, owiana potęgą północnego wiatru. Czulałam jego przejmujący świst między palcami, mogłam ciskać nim na podobieństwo piorunów Zeusa. Znając nową moc niepomiarową, wrzeszczałam - Wartam, żebyś ze mną władzę dzielił się na poły!

Mój ryk toczył się przez pustkę nad chmurami. Wściekłym wzrokiem rzucałam wokół w poszukiwaniu Boga. Gdybym go odnalazła, rozerwałabym na strzępy błękitne. Ścisnęłabym jego gardło do siności, śmiertelnej purpury.

- Milczysz! - wrzasnęłam, triumfując. Nikt nie nadejdzie, nikt nie góruje. To mój czas.

- Ciszej tam, na Boga!

Zasłona naraz spadła z moich oczu, a siła napędzana wściekłością wyparowała z napiętych, pożyczkowanych ramion; usta wyrzuciły z kolejnym wydechem bluźnierstwo.

Odwróciłam głowę w stronę źródła otrzeźwiającego głosu i wyszeptałam potulnie:

- Przepraszam najmocniej, ale gdzie pan j-?

Umilkłam, zatapiając wzrok w pustce, kłębach szarej mgły rozrzedzanej kroplami mżawki. Poszukiwałam głosu, chropowatego męskiego głosu, a razem z nim gardła z widoczną grdyką, przedłużającego ciało; podtrzymującego poważną głowę.

Wtedy dostrzegłam pokarbowany szczyt szarej skalnej masy, na którym w niewielkiej niszy siedział przygarbiony starszy człowiek z oczami oprawionymi w mocne oprawki okularów; wpatrzonymi w dal.

- Moje uszanowanie! - zawołałam nieco pewniej jakby uspokożona podeszłym wiekiem napotkanego jegomościa - Cóż pan robi na szczycie góry?

- Siedzę na Judahu skale - odpowiedział posmutniałym tonem i poprawił stojącą obok naftową lampkę. Spojrzał na mnie pustymi brązowymi oczami i zaprosił do dołączenia ruchem ręki.



Wdrapałam się po zboczu i usiadłam obok niego, nie zwracając uwagi na absurdalność sytuacji. Wiele nadnaturalnych spraw mnie dzisiaj spotkało, a wspólnym pobytem na Judahu skale nie będę się przejmować z braku sił zarówno fizycznych, jak i psychicznych.

Mimo zmęczenia leżąc w moim sercu forma zdawała się pobłyskiwać, migać i mrugać w pobliżu dziwnego staruszka. Ożywiła się zupełnie i wykwitła nową nadzieją po nieudanej wyprawie na Ulicę Krokodylą.

Domyślałam się powodu, ale zdecydowałam zapytać:

- Czy jest pan artystą, panie...?

- Różewicz – odpowiedział spokojnie za mnie, oszczędzając chwili niezdecydowania – Jestem lub byłem pisarzem, ale, błagam, nie pytaj o moją młodość, bo jej nie było.

- Oczywiście... - obiecałam solennie, nie domyślając się, skąd takie nagle zastrzeżenie w jego ustach. Nie była to codzienna prośba, którą można by było usłyszeć z ust nieznanego.

- Wiele osób przed tobą pytało o przeszłość, kiedy ja i moi pobratymcy byliśmy młodzi – kontynuował z zamglonymi oczami, zawieszonymi w ogromie bladej nicości - Nie chcę o tym mówić, wystarczy, że pisałem. W istocie woleliśmy być szczurami, nigdy *tego* nie doświadczyć, ale Wy *tego* nigdy nie zrozumiecie.

Gdy mówił, płomień naftowej lampki rósł i przygasał, co, jak zaobserwowałam, zdecydowanie wpływało na zachowanie mojej Formy. To do niej Ignęła, dążyła, wrywała się z dzikim pędem. Dlaczego?

- Przepraszam, panie Różewicz – zaczęłam formować nieudolne pytanie - To może niegrzeczne, ale światło tej lampki...

- To światło lampy filującej – odrzekł nie przenosząc wzroku – Przypomina mi o dawnych czasach jeszcze przed *tym* – umilkł na ułamki sekund – gdy... gdy jeszcze poezja była możliwa.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, oboje zagubieni w myślach o czasach *tego*. Pan Różewicz cierpiał przez wspomnienia, a ja próbowałam odnaleźć jego cierpienie, ale nie potrafiłam. „Wy *tego* nie zrozumiecie” przeszło mi przez głowę.

- Twoja wędrówka niedługo się zakończy – wyszeptał pan Różewicz, zmniejszając płomień lampy filującej. Otworzyłam szeroko oczy, zastanawiając się przez chwilę, czy aby nie Bóg zamieszkuje Formę pana Różewicza. Skąd jego wszechwiedza, spokój ducha, absolutny stoicyzm? Nie myślałam długo nad ewentualnością wydarzenia, gdy znowu się odezwał chropowatym głosem:

– Zanim odejdziesz, spójrz proszę na most.

Wysiliłam wzrok, żeby dostrzec rzekomy most w pokazanym kierunku. Wieczorna, gęsta, nieprzebyta, niedostatecznie poskromiona mżawką mgła naraz opadła i moim oczom ukazał się szereg potężnych, żelaznych mostów; niknący daleko za horyzontem.

Pierwszy z nich prowadził do połączanej wyobrażonym słońcem platformy, której niezemski blask tworzył wokół boski nimb. Po kładce mostu wędrował młody człowiek, ale wychudzony, wyczerpany, opadnięty z sił. Niemal włókł się w kierunku pobłyskującej krainy. Choć byliśmy oddaleni, słyszałam metaliczny stukot zniszczonych podeszw jego butów, gdy pieczołowicie włókł się, niemal czołgał do celu.

- To idzie Bruno – wyszeptał pan Różewicz z zaczątkiem łez w oczach – Próbuj dotrzeć do arkadii.

Zanim zdążyłam otworzyć usta padł strzał.

Bruno osunął się na kolana, przechylił martwym ciałem na skraj kładki i spadł bezwiednie jak szmaciana lalka w czarną przepaść, w nieznaną czeluść, nie wydawszy żadnego, choćby najmniejszego dźwięku.

Ciszę jego śmierci zakłócał jedynie ciężki oddech stojącego na końcu mostu postawnego mężczyzny z karabinem.

- Kolejny czwartek... - wyjęczał pan Różewicz z bólem wypisanym na pokrytej brudami twarzy – A on ciągle, nieugięcie zmierza do arkadii, chociaż nigdy mu się to nie uda. To syzyfowa praca, daremny trud. Ale...

Ty też tam zmierzasz, prawda?

Nadzwyczajna Forma wbiła ostre czubki w moje trzewia na stanowcze 'tak'. Skrzywiłam usta w bolesnym grymasie, wbiłam brudne paznokcie w miękką, otłuszczoną, zasianą gdzieś pryszczami i kroplami potu młodzieńczą twarz.

- Ja... nie wiem właściwie, nie jestem wcale pewna. Jedynie poszukuję formy, potrzebuję formy. Na Boga! A być może też s-sensu?

- Bruno prawie wszystko wiedział o lampach filujących.

- Skąd się dowiem, on nie żyje..! – zaskomlałam w przyptywie spóźnionego smutku. Łzy potoczyły się po moich białych policzkach, a w głowie wykwitła zgniłym kwiatem myśl o stracie wielkiego poety.

- Nie zapominaj o książkach, wiecznie żywych słowach umarłych. Wciąż możesz czytać, to wyzwolenie, a Formę zniszcz, niech idzie w diabły.

Wciągnęłam płaczliwy katar czerwonym, napuchłym nosem i przetarłam przekrwione oczy, które naraz stały się puste i bezwolne jak wzrok pana Różewicza. Przez chwilę byłam bliżej *tego*, tragedii Kolumbów. Przez małą chwilę przyswajałam słowa mojego towarzysza.

Pan Różewicz nachylił się i zgasił płomień lampki.

- Bruno ginie na tym moście i wielu kolejnych, tych ciągnących się za horyzontem nawet, codziennie, gdy mój umysł przypomina o krwawym czwartku – powiedział powoli, wodząc nieobecny wzrokiem po widnokręgu - Jest zamknięty w niemożliwej do opuszczenia pętli czasu swoich dążeń do rajy przerywanych nagłą śmiercią. Los jest nie do zmienienia, ale ocalić Brunona można pamięcią, czytaniem jego słów.

Padł kolejny strzał.

- Cóż to za życie w wiecznej pętli...? W narzuconej Formie...? – wyszeptalam przez łyzy. Chciałam krzyknąć, ale zdarty głos w moim gardle był zbyt słaby, bezsilny, przygaszony jak światło lampy.

Mój rozmówca nie odpowiedział wprost, ale skierował smutne spojrzenie na sam dół naszej skały, gdzie dziwnie wyglądająca figura człowieka drapała pazurami w mocarnym gładzie, pokrzykując coś niewyraźnie.

- To Pimko – oznajmił wyjaśniająco pan Różewicz, darząc go krzywym spojrzeniem – Przybiera rozmaite Formy wobec różnych ludzi, których prześladowanie odnajduje jako niewymowną przyjemność. Mimo zmian kształtu, jego funkcja jest zawsze, niezmiennie taka sama-usidlanie człowieka w Formie. Musisz go przezwyciężyć, choć jest to niemożliwe.

- Nie rozumiem – wyjąkałam, wsadzając dłoń do środka duszy. Wyciągnęłam wijącą się, obleczoną krwią i trzewiami Formę nadzwyczajną. Cisnęłam ją w stronę Pimki.

- Spróbuj pokonać Formę, złamać ją. Miej nadzieję, to ona każe walczyć o każdy dzień życia, być może jeden z nich przyniesie wyzwolenie.

- Od Formy?

- Zależy od czego uciekasz.

Od tej chwili pan Różewicz umilkł na dobre, zostawiając mnie z na wpół odpowiedzianym pytaniem i rozrywającym bólem w klatce piersiowej po straconej Formie.

Siedziałam obolała wędrówką, osaczona myślami, zagubiona pomiędzy światami i poznanymi ludźmi. Przed pustymi oczyma rysowała mi się znowuż spadająca ku nicości sylwetka poety, w uszach grzmiały mi kolejne, powtarzalne strzały karabinu na przemian z niezrozumiałymi, uporczywymi nawoływaniami Pimki i cytatami z utworów, mamrotanymi przez mojego sąsiada, pana Gombrowicza, którego słowa niósł ku ostatniemu z żelaznych mostów północny wiatr.